

JERZY STARNAWSKI
(Łódź)

FILOLOG KLASYCZNY W ANEGDOCIE

Szkic niniejszy zbiera garść anegdot o filologach, poczynając od uczonego z pierwszej połowy XIX wieku, na ogół zapomnianego. Był to Franciszek Antoni Woelke (1788–1862), profesor Uniwersytetu Warszawskiego w dobie Królestwa Polskiego. W *Pamiętnikach* Henryka Wiercieńskiego (1843–1923), lublinianina, odnotowana została zabawna scena z ostatnich lat Woelkego, kiedy gościł w Snopkowie koło Lublina. Siedział na ganku dworu ze stryjem autora *Pamiętników*, gdy zajechał przed dom „jeometra” nazwiskiem Makowski.

Profesor, usłyszawszy nazwisko przybyłego, trzymając podaną mu dłoń w rękę, odzywa się: „Tedy (od tego wyrazu zaczynał każde zdanie) Makowski pochodzi od maku – a Rzymianie mak lubili i na sen go używali. Tak” (wyrazem „tak” zwykł był kończyć każde wypowiedane zdanie)¹.

Profesor Kazimierz Morawski miał zwyczaj przechadzki w środku nocy, odbywanej z mieszkania Plantami na dworzec kolejowy w Krakowie. Tu w bufecie I klasy wypijał przygotowaną według jego obyczajów kawę ze śmietanką, po czym wracał na drugą część nocy.

Profesor Leon Sternbach strawił w latach młodości naukowej wiele miesięcy, może w sumie lat, na poszukiwaniach w Bibliotece Ambrożyńskiej w Mediolanie, która ze względu na bogactwo rękopisów tekstów antycznych z bardzo różnych wieków jest prawdziwą Mekką dla filologów klasycznych. Biblioteka jest pod zarządem kościelnym; na jej czele stoi prefekt, którym jest zawsze jakiś monsignor (przypomnijmy: w Bibliotece Załuskich w Warszawie prefektem był Jan Daniel Janocki). W latach 1907–1911 prefektem Biblioteki Ambrożyńskiej był mons. Achilles Ratti. Pomnik jego jako papieża stoi w czytelni głównej Biblioteki. Sternbach i Ratti polubili się; nie przeszkadzało ich przyjaźni, że Sternbach, syn podrabina z Drohiczyzna, pozostał do końca życia nieochrzczony. Gdy Ratti był już papieżem jako Pius XI, zdarzyło się, iż do Rzymu przybyła ekipa uczonych polskich pod przewodnictwem Sternbacha, który dzięki swym osobistym stosunkom w Watykanie wyjednał dla kolegów i dla siebie prywatną audiencję u papieża. Audiencje nie były wówczas tak łatwe i częste jak za Jana Pawła II. Po powrocie do Krakowa

¹ Z rękopisu w Bibliotece im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie ogłosił J. Starnawski: *Z lubelskich tradycji filologii klasycznej*, Roczniki Humanistyczne 6, 1957, s. 146. – Dalsze anegdoty nie mają podstawy tekstowej, były szeptane z ust do ust lub też podane zostały z autopsji.

Sternbach składał sprawozdanie z pobytu w Rzymie na zebraniu PAU i w pewnym momencie powiedział:

– Proszę powstać: Ojciec Święty przez moje ręce przesyła błogosławieństwo dla Polskiej Akademii Umiejętności.

Profesor Gustaw Przychocki należał do najszcześniejszych dydaktyków uniwersyteckich wśród filologów klasycznych. Niewiele przekroczył sześćdziesiątkę, a doczekał tego, że trzech jego uczniowie byli już wybitnymi profesorami: Turyn, Manteuffel, Strzelecki, dwaj pierwsi byli członkami PAU. Po śmierci mistrza do katedr uniwersyteckich doszło kilka jeszcze osób spośród jego uczniów i uczennic. Była w tym duża jego zasługa: chuchał i dmuchał na swych uczniów, ogromnie dbał o zakład. Z zakładu nie wolno było wynieść ani jednej książki, ale studenci, którzy już napisali łacińską pracę (najzdolniejsi na I roku), przyjmowani byli na uroczystej audiencji u profesora, otrzymywali klucz od zakładu i mogli dostać się tam zawsze w dzień i w nocy. W czasie pisania pracy magisterskiej siedzieli tam niejednokrotnie przez całą noc, robili sobie co parę godzin czarną kawę i czynili poszukiwania w wielkich encyklopediach i słownikach.

Był Przychocki człowiekiem o dwu profesjach: świetny uczony każde wakacje spędzał na ćwiczeniach wojskowych, które nie obowiązywały go co roku, ale zgłaszał się na manewry dobrowolnie. Była to jego forma odpoczynku po całorocznej pracy naukowej i dydaktycznej. Umiłował swój rodzaj broni: artylerię konną, a więc tę gałąź artylerii, w której służba była najcięższa. W kampanii wrześniowej wziął udział jako podpułkownik; do tego stopnia doszedł jako rezerwista corocznym udziałem w manewrach wojskowych. Wymagający od siebie, wymagał też wiele od studentów, przede wszystkim punktualności. Jeśli naznaczył godzinę – na przykład piątą – a student spóźnił się o kilka minut, nie został przyjęty.

Profesor Jan Oko, latynista w Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, mniej może był znany z prac naukowych, co prawda *opus vitae*, monografia Rzymu, nieopublikowana, przepadła w czasie wojny. Dydaktykiem uniwersyteckim był znakomitym; wspólnie z profesorem Stefanem Srebrnym, greclistą, wytworzył w Wilnie szkołę maksymalistycznych wymagań. Uważał, iż asystent nie ma prawa się żenić, i zwolnił jednego asystenta tylko dlatego, że wstąpił on w związki małżeńskie. Był wyraźnym antypiłsudczykiem. Piłsudski rzadko opuszczał Warszawę, ale co pewien czas zjawiał się w Wilnie. Był mecenasem USB. W tych latach, w których *Pisma*, *mowy*, *rozkazy* rozchodziły się w ogromnych nakładach (kupowała je między innymi każda biblioteka szkoły średniej), honoraria autorskie wystarczały Piłsudskiemu i pensja marszałkowska szła na USB z przeznaczeniem: na rozwój młodej kadry. Rektor mógł albo angażować dodatkowo asystentów na czas określony, albo przyznawać stypendia doktoranckie. Gdy Piłsudski przybywał do Wilna, organizowano dla niego w uniwersytecie uroczyste posiedzenia Senatu. O jednym takim posiedzeniu istnieje relacja opowiedziana piszącemu te słowa przez naocznego świadka. Na posiedzeniu byli tylko *viri togati*: rektor, prorektor i po dwu z każdego wydziału. Cała społeczność uniwersytecka ustawiła się w szpalerze na precudnym dziedzińcu. Gdy posiedzenie skończyło się, wyszli najpierw reprezentanci wydziałów, potem Piłsudski w otoczeniu paru generałów, na końcu rektor i prorektor, zamykający

pochód. Pierwszy wyszedł profesor Marian Massonius (był na katedrze pedagogiki; w tym, co pisał, był bardziej filozofem). Do ustawionych w szpalerze powiedział:

– Od czasów Batorego nie mieliśmy tak wielkiego męża.

Za Massoniusem szedł profesor Oko, który do tych samych ludzi wyrzekł słowa:

– Nie zdarzyło mi się jeszcze słyszeć, żeby ktoś w jednym przemówieniu tyle nałgał.

Prawda była z pewnością pośrodku.

Profesor Kazimierz Kumaniecki otrzymał katedrę w Uniwersytecie Warszawskim niewiele przekroczywszy trzydziestkę. Przed jej objęciem wykładał przez kilka lat jako docent w Uniwersytecie Jagiellońskim. W jednym roku do interpretacji wziął Katulla. Przy końcu pewnego wykładu zapowiedział, że w następnym będą rzeczy pikantne, prosił, by przyszli sami panowie. Przyszły wszystkie studentki z filologii klasycznej, a niejedna przyciągnęła koleżankę z innej sekcji Wydziału. Młody docent zaczerwienił się, ale nie uronił niczego z przygotowanego wykładu.

Profesor Ryszard Ganszyniec (recte Gansiniec) wykładał w dwudziestoleciu międzywojennym w Uniwersytecie Jana Kazimierza i we Lwowie przeżył okupację sowiecką lat 1939–1941, niemiecką lat 1941–1944 i doczekał powrotu do Lwowa Armii Czerwonej. W roku 1944 enkawudysta przyszedł do jego mieszkania i zażądał, by wskazał tych profesorów lwowskich, którzy współpracowali z Niemcami. Gansiniec odpowiedział:

– Znam jednego, który współpracował, ale on bardzo wysoko stoi.

– Kto on takoj? – zapytał enkawudysta. Gansiniec z całym spokojem odpowiedział:

– Josip Wissarionowicz Stalin.

Enkawudysta wykrzyknął: – Profiesor durak! – i odszedł. Mogło się to skończyć gorzej.

W roku 1948/1949 wykładał Gansiniec w Uniwersytecie Jagiellońskim. Zaszedłem kiedyś na jego wykład o dziejach religii helleńskiej i zorientowałem się, że z pewnością przez wiele już godzin profesor rozważał, czy Pallas Athene była najpierw Pallas, a potem Athene, czy odwrotnie. Omawiał wiele teorii różnych uczonych niemieckich i angielskich. Do mnie zwrócił się z zapytaniem:

– Kto miał rację?

Odrzekłem:

– Panie profesorze, żeby mieć własne zdanie, trzeba tyle umieć, ile umieli ci profesorowie.

Usłyszałem w odpowiedzi:

– Cieszę się, że znalazł się choć jeden człowiek, który tak dobrze myśli o profesorach.

Gdy w UJ zajmowali katedry profesorowie Tadeusz Sinko i Seweryn Hammer, byli obaj dla studentów mało przystępni. Nieprzystępność czy raczej brak wyrozumiałości profesora Hammera ilustruje jeden charakterystyczny wypadek: student interpretujący tekst określił wers jako *versus corruptus*, na co profesor:

– Pan jest *corruptus*, a nie *versus*.

Sinko był tytanem pracy, przyjście na wykłady czy na seminarium to była przerwa w jego naukowej twórczości. Nie rozróżniał studentów, nawet najzdolniejszych. Przyszły profesor, Marian Plezia, był już jako początkujący student autorem łacińskiej pracy liczącej ponad 60 stron, cytowanej w zachodnioeuropejskiej nauce. Jednakże Sinko nazywał go na seminarium „pan Mizia” (w Krakowie był sklep pod taką firmą).

Sinko był autorem najobszerniejszej w nauce światowej syntezy literatury greckiej, którą pisał w ciągu 26 lat. W wykładach, zatytułowanych na przykład *Tragedia grecka czy Komedia grecka*, ograniczał się często do odczytywania dużych partii z odpowiednich rozdziałów swej syntezy. Było to trochę nużące. Od czasu do czasu przerywał ten tok dla przetarcia okularów i wtedy mówił z pamięci. To, co powiedział w tym czasie, było prawdziwie nowe i bardzo interesujące.

Profesor Hammer prawie zupełnie nie promował doktorów (profesorowie nie byli wówczas z tego rozliczani). Profesor Sinko wypromował wielu, ale otrzymanie tematu dysertacji nie było rzeczą łatwą. Najlepszą metodą było udanie się najpierw do profesora Hammera i po rozmowie, w której żaden temat się nie wyłonił, zaczęcie rozmowy z Sinką od relacji, że profesor Hammer tematu nie dał; wówczas temat u profesora Sinki się znalazł.

W Uniwersytecie Warszawskim katedry zajmowali jednocześnie profesorowie Adam Krokiewicz i Kumaniecki. Zakłady ich były osobne. Na imieninach profesora Kumanieckiego w 1950 roku, obchodzonych przez licznie zebrane grono filologów, odczytano wierszyk:

Adaś i Kazio w jednym stali domu:
Adaś na górze, a Kazio na dole.
Adaś spokojny, nie wadził nikomu,
Kazio tak samo, ale po kryjomu
Nie radził nikomu mieszkać razem w jednym domu.

W Uniwersytecie Poznańskim katedry zajmowali przez wiele dziesiątków lat profesorowie Witold Klinger i Jan Sajdak. Jako docent zaczął wykładać na kilka lat przed drugą wojną światową Wiktor Steffen, który po wojnie objął katedrę w Uniwersytecie Wrocławskim, ale przez pewien czas nadal wykładał jako docent w Uniwersytecie Poznańskim (od roku 1955 zwanym Uniwersytetem Adama Mickiewicza), dokąd po latach wrócił na katedrę. Praca jednej magistrantki otrzymała rozbieżne oceny profesorów Klingera i Sajdaka; jeden z nich postawił niedostatecznie. Dziekan skierował pracę do superarbitrażu profesora Steffena, o czym magistrantka wiedziała. Pochodziła ze wsi, a były wtedy trudności w dostaniu wielu produktów spożywczych. Zjawiała się u profesora Steffena z tobołem żywności. Profesor powiedział jej, by natychmiast zniknęła, bo inaczej będzie musiał zrobić z tego użytek. Pracę ocenił jako dostateczną, czym umożliwił egzamin. Na egzaminie dał delikwentce do tłumaczenia fragment z Hezjoda o przekupstwie.

Profesor Sinko brał udział jeszcze po drugiej wojnie światowej w zjazdach Polskiego Towarzystwa Filologicznego. Zdarzało się, że występował jako *enfant terrible*. Na zjeździe we Wrocławiu pewna koleżanka niezamężna referowała odnaleziony

przez nią mim grecki. W dyskusji profesor Steffen rozbudował wątek erotyczny. Z pierwszego rzędu odezwał się głos Sinki:

– Inaczej *virgo pudica*, inaczej *vir peritus!*

W czasie zjazdu, który obradował w Sopocie, przed przyjęciem w Grand Hotelu duża gromada wyszła na piasek nadmorski. Sinko opowiadał stojąc pośrodku o wycieczce profesora Tadeusza Zielińskiego ze studentami do Grecji, po której kilka studentek wróciło w ciąży. Nadszedł profesor Srebrny. Sinko zwrócił się do niego:

– Mówimy, panie kolego, o tej słynnej wycieczce Zielińskiego.

Srebrny, który nie słyszał początku, powiedział:

– Ja też byłem na tej wycieczce.

Na to Sinko:

– To pańska robota.

Wyszło dobrze, bo profesor Srebrny to była *anima candida*.

W czasie, w którym istniała „żelazna kurtyna” między wschodem i zachodem, obradowała w Warszawie międzynarodowa sesja cyceronańska. Oczywiście, mogli być tylko filologowie z ZSRR i z krajów demokracji ludowej. Gdy po skończeniu obrad przed przerwą obiadową zrobiła się duża kolejka w szatni, jeden z filologów radzieckich stał w kolejce siedemnasty czy osiemnasty. Zjawił się ktoś spośród naszych rodaków, którego nazwijmy Nadskakiewicz. Starał się radzieckiego filologa wyłączyć z kolejki na początek. Nie umiał dobrze po rosyjsku, gestykulował i powtarzał ciągle „gość..., gość”.

Na co ów gość odpowiedział: – *Gost' idiot w chwost* – i stał nadal w kolejce.

Doktor Janina Pliszczyńska, później profesor, była przez wiele lat przewodniczącą Koła Lubelskiego PTF. W pierwszych latach po drugiej wojnie światowej sprowadzała do Lublina prawie co miesiąc prelegentów z Warszawy, z Krakowa, z Wrocławia, z Poznania. Życzliwy kierownik Wydziału Kultury w Miejskiej Radzie Narodowej finansował te przyjazdy. Na pewniaka zaprosiła w jesieni 1948 roku doktora (później profesora) Mieczysława Brożka z referatem o *Charakterach* Teofrasta, które Brożek przetłumaczył i oddał do druku. Przyszła do Wydziału, by zainkasować pieniądze. Hotel był zamówiony, zawiadomienia rozesłane. Okazało się, że jest już inny kierownik Wydziału; siedział w gabinecie, ale nie rozmawiał z nią; rozmowę prowadził referent, który odmówił subwencji. Po ostrej wymianie słów doktor Pliszczyńska wychodziła już z gabinetu, gdy odezwał się kierownik Wydziału:

– Gdyby mówił dla robotników, dalibyśmy subwencję.

Pani Pliszczyńskiej nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Było to jeszcze przed zjednoczeniem PPR i PPS; ekspozyturą PPS było Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych, prowadzące świetlicę. W ciągu godziny doktor Pliszczyńska zjawiła się tam i uzgodniła, że doktor Brożek wygłosi najpierw odczyt w świetlicy TUR, potem w Kole PTF. Zainkasowała subwencję. Robotnicy, którzy słyszeli ciągle tylko, że dawniej wszystko było złe, a teraz wszystko będzie dobre (historia się powtarza), byli wniebowzięci, gdy dowiedzieli się, że był jakiś Teofrast i pisał *Charaktery*.

Doktor Pliszczyńska była bardzo długo nauczycielką szkolną. Przeżyła w szkolnictwie i dobre, i złe. Patrzyła na zmiany niekoniecznie godne pochwały i po paż-

dzienniku 1956 roku napisała w „Kamienie” artykuł o niskim poziomie szkolnictwa lubelskiego. Odpowiedział jej nowo kreowany dygnitarz z kuratorium, który przedstawił cyfry: liczba szkół przed wojną i po wojnie, liczba bibliotek, budżet oświaty przedwojenny i powojenny. Replikę zakończył, zarzucając doktor Pliszczyńskiej nieuczciwość. Odpisała mu bardzo rzeczowo, że cyfry nic nie mówią o poziomie, a kwestię użycia wyrazu „nieuczciwy” skieruje na drogę sądową. Rozpoczęła proces, którego wygrać nie mogła w istniejącej atmosferze. Ale w sądzie, do którego nauczyciele uciekali z lekcji, bo wielu dyrektorów szkół i innych „szych” było na cenzurowanym, działały się obrazki wesołe. Najlepszy był ten, gdy na pytanie sądu, dlaczego doktor Pliszczyńska nie mogła współpracować z dyrektorem X, odpowiedziała:

– Pan X był przed wojną piłsudczykiem, sanatorem, opiekunem Straży Przedniej, działaczem harcerstwa i człowiekiem religijnym. A po wojnie jemu się tak szybko zmieniały orientacje, że ja nie nadążyłam za tymi zmianami.

Nie można było nudzić się na posiedzeniu Rady Wydziału, w którym brała udział pani Pliszczyńska. Była zawsze do wielu spraw nastawiona batalistycznie. Na pewnych ćwiczeniach, w których brało udział kilkoro studentów, w tym jeden mężczyzna i jego koleżanki, zirytowała się na całą grupę i z trzaskiem wyszła z sali. Student powiedział do swych koleżanek, cytując Słowackiego:

Duchowi memu dała w pysk i poszła.

Po drugiej wojnie światowej wykładała w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim przez 30 lat doktor Leokadia Małunowiczówna, która przeszła drogę od adiunkta do profesury. Gdy była docentem, powołano ją na stanowisko delegata Senatu do spraw lektoratów. Przy końcu semestru musieli zjawić się u niej studenci wszystkich wydziałów, którzy nie zaliczyli lektoratu. W czasie godziny przyjęć dla studentów Wydziału Teologicznego, księży, przechodziłem korytarzem koło gabinetu pani Małunowiczówny. Zapytałem:

– Co tu tyłu księży?

Na to jeden z nich powiedział mi:

– Pani docent Małunowiczówna sprzedaje cytryny.

(Właśnie cytryny pojawiły się tego dnia w Lublinie). Przez drzwi usłyszałem głos pani Małunowiczówny:

– Dzisiaj po znizonych cenach!

Dodać warto, że ksiądz, który sobie tak zażartował, został później biskupem.

Gdy rektorem KUL był przez kilka kadencji ojciec Albert Krapiec OP, przystąpił do przebudowy frontu i rozbudowy gmachu uniwersyteckiego, pękającego w szwach. Jeździł po kweście do wszystkich biskupów na terenie Polski, zawsze zabierał z sobą kogoś z profesorów. Do pewnego biskupa pojechał z panią profesor Małunowiczówną. Zreferował biskupowi sprawę, a pani profesor dodała:

– Przede wszystkim nam chodzi o duchowe poparcie.

Na to biskup:

– Tak, tak, duchowe. Ja się pomodłę za was, ale pieniędzy wam nie dam.

Profesor Stefan Zabłocki w okresie dojeżdżania na wykłady z Gdańska do Szczecina zaszedł raz w Szczecinie do restauracji przeznaczonej dla gości zagranicznych. Menu wypisane było w kilku językach zachodnioeuropejskich, nie po polsku. Kelnerzy rozmawiali też w językach obcych. Świetna znajomość języków pozwoliła profesorowi Zabłockiemu zamawiać w językach obcych; po zjedzeniu obiadu zwrócił się do kelnera po polsku:

– Jestem obywatelem polskim. Płacę w złotych. Proszę o rachunek.

*

W kręgu zainteresowań filologów klasycznych pozostają niefilologowie wykładający o starożytności. Zasluguje na przypomnienie profesor Franciszek Bossowski z USB, profesor prawa rzymskiego. Używał on stale w wykładach przerywnika „proszę państwa”. Podobno wykladał kiedyś tak:

– W państwie rzymskim, proszę państwa, rodzina, proszę państwa, była państwem w państwie, proszę państwa.

W czasie jakiejś studenckiej herbatki wypowiedziano wierszyk, rzekomo z jego wykładów:

W państwie rzymskim, proszę państwa,
Nie bywało chuligaństwa.
O tej cnocie tego państwa
Trzeba wiedzieć, proszę państwa.

Historykiem starożytnym w KUL po drugiej wojnie światowej był Jan Stanisław Łoś. Profesorem stał się trochę przypadkowo. Miał odbyte studia zakończone doktoratem praw w uniwersytecie wiedeńskim; spędził kilkanaście lat w służbie dyplomatycznej, początkowo jeszcze austriackiej, a później polskiej. Wyszedłszy z dyplomacji osiadł w pięknym majątku żony, zgromadził dużą bibliotekę, między innymi wiele francuskich wydań tekstów autorów starożytnych, głównie historyków. Z amatorstwa czytywał starożytnych pisarzy, a z rozważań wyrosła mu książka *Hellada na przełomie*, która utorowała mu drogę do katedry historii starożytnej, gdy majątek przepadł. Zaczął drogę profesora uniwersytetu późno, ale wykladał ze znanstwem, z dużą kulturą, starał się być *au courant* w najnowszych osiągnięciach nauki i zupełnie pozytywne pensum profesorskie spełniał.

Gdy w Radzie Wydziału ktoś wyraził obawę, czy nie za duże są obecnie kompetencje dziekana, profesor Łoś odpowiedział: – Proszę państwa, są osoby, które mają przywilej wjeżdżania konno do kościoła, ale bardzo rzadko z tego korzystają – ten przywilej, anachroniczny, miał Łoś jako kawaler maltański. Gdy wyłoniła się kwestia posłania do ministerstwa jednego czy dwu wniosków personalnych w pewnej dziedzinie, a profesor Łoś jako dziekan posyłał tylko jeden w obawie, że przy dwu ten właśnie nie przejdzie, odbyła się rozmowa z pewnym profesorem, nalegającym:

– Jeśli posyła pan sprawę A, musi pan posłać sprawę B.

Profesor Łoś odpowiedział:

– Proszę pana, do maści to ja tylko konie kupowałem.

Po październiku 1956 roku studenci wystąpili do profesora Łosia jako do dziekana o zniesienie filozofii marksistowskiej, do czego rzeczywiście doszło. W chwili rozmowy profesor Łoś nie miał jeszcze decyzji; odpowiedział studentom:

– Proszę państwa, słuchałem jako student wykładów o Koranie, haremu nie założyłem.

ARGUMENTUM

Referuntur hic mores, facta et dicta celebrium philologorum Polonorum, qui Graecas et Latinas litteras scrutabantur: